



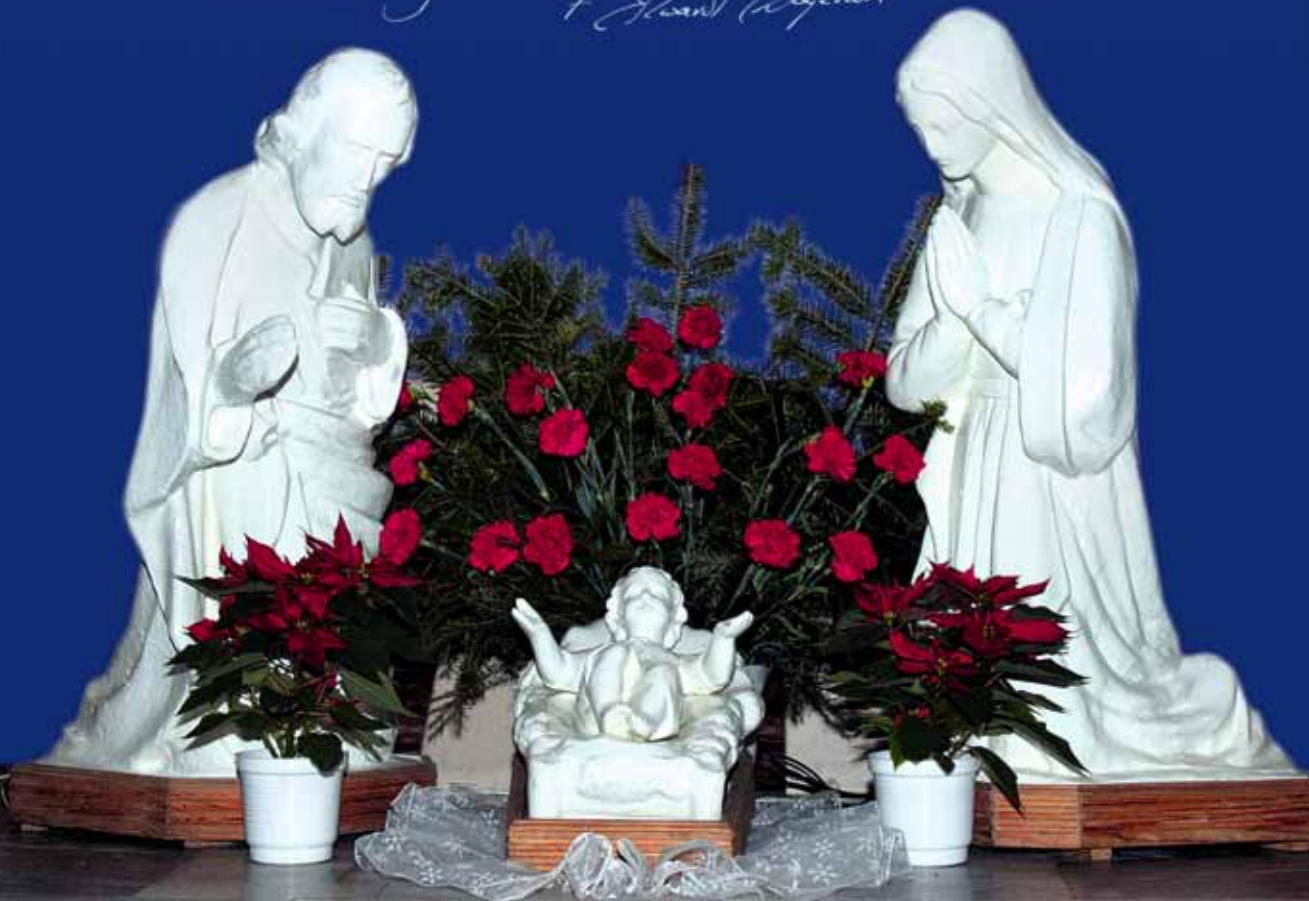
Życzenia biskupa koszalińsko-kołobrzeskiego

Piękno przemiany

*Nie ma niczyj sędziój ad tego,
by umiłowić na nasz świat
całkowicie dążyć do Boga (Urbanus Smolc).
Biblia jest pełną brzośnią łaski,
a każdy spotkany przez nich, Jezus
zawiesił ich życie.*

*Życis czytelniku Gości Niedzielnego
módl się o Boga w sercu i doświadczenia
Pisania przemiany.*

*Błogosławionych Świąt i szczęśliwego,
bratniego mądrowia i pełnego Miłości
Nowego Roku.
+ Edward Rójczak*



Pójdźmy wszyscy do stajenki



Lamy, owce, osły i kuce mieszkające w szopie nie muszą się martwić o pożywienie

SŁUPSK. Największa w regionie szopka stanęła przed słupekim ratuszem. Mieszkają w niej żywe zwierzęta. Wykonana została w skali 1:1. Ma 200 mkw powierzchni i 3,5 m wysokości. Swoją architekturą nawiązuje do czasów przyjscia na świat Jezusa. – Z uwagi na to, że znajdują się w niej lamy, owce, osły i kuce, musieliśmy ją ogrodzić – tłumaczy Mirosław Wawrowski, pomysłodawca ustawienia szopki. – Mimo siarczystych mrozów dbamy o lokatorów. Zwierzęta karmione

są dwa razy dziennie – zapewnia. W środku stajenki ustawiono 15 drewnianych rzeźb, które zostały wykonane podczas pleneru zorganizowanego w listopadzie w Dolinie Charlotty. Słupszczanie mogą podziwiać figury Maryi, Józefa i Dzieciątka Jezus. Nie zabrakło ani Trzech Króli, ani aniołów i pastuszków. Szopka jest oświetlona. – By podkreślić bożonarodzeniowy klimat i sprawić radość mieszkańcom, puszczamy kolędy z płyt – dodaje M. Wawrowski.

Zanim zaśpiewali kolędy

PIŁA. Ministranci z pilskiego dekanatu radość Bożego Narodzenia poprzedzili dniem skupienia. Gospodarzem spotkania była parafia garnizonowa pw. NMP Częstochowskiej. Spotkanie rozpoczęło się adoracją Najświętszego Sakramentu. Po niej Mszy św. przewodniczył ks. Krzysztof Karwasz, dekanalny opiekun ministrantów, a w koncelebrazie znaleźli się kapłani pilskich parafii także opiekujący się ministrantami. Po Eucharystii ministranci wzięli udział w konkurencjach. Główną atrakcją był turniej halowej piłki nożnej w sali gimnastycznej Szkoły Salezjańskiej i w hali Wyższej Szkoły Zawodowej. W salach kate-

chetycznych klasztoru oo. kapucynów uczestnicy dnia skupienia mogli wykazać się w innych konkurencjach: szachach, warcabach, tenisie stołowym i bilardzie. Miłośnicy zagadnień teoretycznych z dziedziny ministrantury mogli sprawdzić swoją wiedzę w konkursie liturgicznym. Po podsumowaniu punktacji ze wszystkich konkurencji, mistrzami okazali się ministranci z salezjańskiej parafii pw. św. Jana Bosco w Pile. – Dni skupienia pozwalają uzmysłowić ministrantom, że ich służba nie dotyczy tylko jednej parafii, ale że należą oni do wielkiej rodziny i tworzą większą wspólnotę – przekonuje ks. Krzysztof Karwasz.



Turniej szachowy wymagał mocnego skupienia

Szopki maluchów

KOSZALIN. 18 szopek bożonarodzeniowych przygotowały przedszkolaki z Koszalina i okolic na pierwszy konkurs zorganizowany przez parafię pw. Podwyższenia Krzyża Świętego, Akcję Katolicką i Przedszkole nr 9. Pomysł konkursu zrodził się w listopadzie. Dzieci mogły przygotować prace z pomocą jednej osoby dorosłej – kogoś z rodziców lub nauczyciela. – Naszym celem było pielęgnowanie tradycji, ale także pobudzenie inwencji twórczej i rozwijanie wrażliwości estetycznej wychowanków – tłumaczy Wioletta Bartoszevska, dyrektor Przedszkola nr 9 „Bursztynek” w Koszalinie. Technika była dowolna, ale organizatorzy zalecali wykonywanie szopek z natural-

nych materiałów. Dzieci użyły więc słomy, papieru, drewna, orzechów, szyszek, a nawet makaronu. – Tata i mama pomagali mi przy robieniu szopki. Pracowaliśmy codziennie po południu – mówi 4-letnia Laura Jankowska. Swoje prace przywieźli wychowankowie siedmiu koszalińskich przedszkoli (numer 9, 10, 13, 14, 15, 19) i przedszkola integracyjnego, a także placówek z Biesiekierza, Bonina i Rosnowa. Prace oceniała komisja, której przewodniczył o. Janusz Jędrzysek, proboszcz parafii pw. Podwyższenia Krzyża Świętego. Postanowiono, że wszystkie dzieci dostaną równorzędne nagrody. – Prace były nietuzinkowe i bardzo interesujące – tłumaczy o. Jędrzysek.



Czteroletnia Laura Jankowska ze swoją pracą

Paczki dla małych pacjentów

KOSZALIN. Koszalińskie Forum Kobiet przygotowało paczki dla podopiecznych filii fundacji Zachodniopomorskie Hospicjum dla Dzieci w Szczecinie. Fundacja opiekuje się dziećmi m.in. z wadami genetycznymi, uszkodzeniami centralnego układu nerwowego, nowotworami. Lekarz i pielęgniarki czuwają nad małymi pacjentami w ich domach. Do dzieci przychodzą też rehabilitant, psycholog, pracownik socjalny. Pomoc fundacji polega również na przekazywaniu chorym sprzętu medycznego. Jej usługi są bezpłatne, finansowane przez Narodowy Fundusz Zdrowia. Fundacja utrzymuje się tylko z 1 proc. podatku. – Obecnie mamy pod opieką ośmioro dzie-

ci z terenu byłego województwa koszalińskiego i jedno z Ustki – mówi Małgorzata Szubstarska, pielęgniarka hospicjum. – Dziękujemy za pomoc nie tylko paniom z forum, ale też innym darczyńcom. Choroba dziecka pochłania bardzo dużo pieniędzy, dlatego jego rodzina często znajduje się w złej sytuacji finansowej – dodaje.

GOŚĆ KOSZALIŃSKO-KOŁOBRZESKI

koszalin@goscniiedzielny.pl

ADRES REDAKCJI: 75-256 Koszalin
ul. Stoczniewców 11-13

TELEFON (94) 341 03 14

REDAGUJĄ: ks. Dariusz Jaślarz

– dyrektor oddziału,
Julia Markowska, Karolina Pawłowska

W Ekwadorze zamordowano polskiego franciszkanina

Ojciec Mirek zawsze się uśmiechał

Miał 45 lat, pochodził z naszej diecezji. Nie wiadomo, **кто** i **dłaczego go zabił**.

Wiadomość o zamordowaniu ojca Mirosława Karczewskiego, franciszkanina, dotarła do Polski w nocy 6 grudnia. W ubiegłym tygodniu rodzina, współbracia, przyjaciele i znajomi pożegnali go w kołobrzeskim kościele pw. Podwyższenia Krzyża Świętego.

Ojciec Mirek, otwarty i żywiołowy za życia, patrzył na wszystkich z uśmiechem z fotografii.

Misjonarz z charakteru

– To był wulkan pracy. Uczył w jednej z najlepszych szkół gdyńskich, organizował wakacje dla dzieci i młodzieży, cały czas w ruchu – wspomina o. Hieronim Cyrański z koszańskiej parafii pw. Podwyższenia Krzyża Świętego. Poznali się jeszcze w Gdyni, gdzie o. Mirek przyszedł do pracy jako neoprezbiter.

Chciał zostać misjonarzem. Po dwóch latach dostał zgodę na wyjazd do Ekwadoru. Spędził tam 15 lat. Ostatnie cztery w klasztorze św. Antoniego z Padwy w Santo Domingo de los Colorado, gdzie pełnił urząd gwardiana oraz proboszcza parafii.

– Nie pamiętam jego pożegnania ani nałożenia krzyża misyjnego, ale pamiętam za to, że wszyscy byliśmy wówczas jednomyślni: ten człowiek rzeczywiście nadaje się na misje. Tam potrzeba takiego charakteru, takiej otwartości i takich zasobów energii, by wiele zrobić – opowiada o. Hieronim. – W Ekwadorze trzeba odbudowywać strukturę religijną w ludziach, zapraszać z powrotem do Kościoła. Brak księży sprawia, że ludzie zwracają się do szamanów. Tak opowiadał, odwiedzając mnie w Koszalinie. Miał świetny kontakt z młodymi i ze starszymi, przyciągał pod skrzydła Kościoła. Dzięki jego działalności zostało odkrytych wiele powołań. Przyczy-



W zakonie przeżył 24 lata, w kapłaństwie – 17, z tego 15 na misjach

nił się do tego, że Ekwador ma już też swoich wyświęconych, którzy mogą ewangelizować.

Do Polski dociera na razie niewiele informacji o okolicznościach zabójstwa franciszkanina. Tego dnia o. Mirosław był w klasztorze sam, bo jego dwaj współbracia wyjechali do innych parafii. Zakonnika znaleźli w klasztorze wierni, którzy do niego przyszli. Ciało o. Mirosława było okaleczone. Miejscowa policja przypuszcza, że mogło być dwóch lub trzech napastników.

– Nie wiemy, czy o. Mirek ich wpuścił, czy sami sforsowali drzwi do klasztoru – mówi o. Mateusz Stachowski, rzecznik franciszkańskiej Prowincji im. św. Maksymiliana w Gdańsku. Zabójcy zniszczyli też krucyfiks, który znajdował się w pomieszczeniu przy furcie klasztornej. O. Mateusz Stachowski nie wyklucza, że do zabójstwa doszło na tle religijnym. – Zginęło kilka rzeczy, ale to zbyt mało, żeby uznać, że był to wyłącznie mord na tle rabunkowym. Motyw religijny zabójstwa wydaje się być dziś bardzo prawdopodobny – mówi.

Męczennik

Bestialsko zamordowany franciszkanin został pochowany w Santo Domingo. Uroczystości pogrzebowej, w której uczestniczyło niemal 100 kapłanów i rzesze wiernych, przewodniczył bp Wilson Abraham Monacayo Jaliil, ordynariusz Santo Domingo. W kołobrzeskim kościele pw. Podwyższenia Krzyża Świętego, gdzie sprawował swoją Mszę św. prymicyjną i który odwiedzał, przyjeżdżając do Polski, w intencji franciszkanina modlili się współbracia, księży dekanatu kołobrzeskiego, a przede wszystkim rodzeństwo i przyjaciele oraz pamiętający franciszkanina mieszkańcy rodzinnego Głodzina i Lipia. – To trudne pożegnanie, tym bardziej że nie ma trumny, nad którą moglibyśmy zapłakać – mówili żegnający misjonarza. Był tylko uśmiech o. Mirka na fotografii, przed którą stanęły zapalone znicze.

Szok po tak dramatycznym odejściu współbrata jest duży. – Człowiek odchodzący w wieku 45 lat, przed którym było jeszcze wiele życia i pracy. To zostawia

ślad – franciszkanie nie ukrywają, że śmierć o. Mirosława jest dla nich bolesna. – Przepisy zakonne stanowią, że każdy z nas zobowiązany jest do odprawienia Mszy św. za zmarłego współbrata, ale tej modlitwy jest z pewnością znacznie więcej niż to, co nakazuje prawo – dodaje o. Hieronim. – Z tej dramatycznej śmierci powinno wypłynąć coś dobrego. Już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa krew męczenników była posiewem nowych członków Kościoła. Myślę, że tak też będzie w Santo Domingo.

Ojciec Stachowski nie broni się przed nazywaniem o. Mirka męczennikiem. – Od strony prawnej trzeba sprawę dokładnie zbadać, czy możemy uznać go za polskiego męczennika. Natomiast dla nas, w naszych oczach, rzeczywiście o. Mirek jest kimś, kto oddał życie w klasztorze, w miejscu swojego posługiwania, czyli tam, gdzie swoje życie poświęcał – dodaje. – Oddał życie jako zakonnik, kapłan, więc myśl o tym, że jest męczennikiem, pojawia się w naszych sercach.

Karolina Pawłowska

ŚWIĘTA W AZJI. Śnieg, choinka i prezenty? Nie po tej stronie globu. Ale, jak się okazuje, nawet w Tajlandii, Indonezji i Wietnamie **można poczuć ducha Bożego Narodzenia.**

tekst i zdjęcia

JUSTYNA TYLMAN

koszalin@goscniedzielny.pl

Kiedy otrzymałam potwierdzenie wyjazdu na stypendium, skakałam z radości. Nie było jej końca – rozpoczyna swoją opowieść białogardzianka Anita, studentka filologii. – Zastanawiałam się, co zabrać ze sobą na całe trzy miesiące. Codziennie wiele godzin spędzałam przed komputerem, sprawdzając w internecie pogodę w Tajlandii i obowiązujące tam ceny. Musiałam wszystko dobrze przemyśleć – bagażu mogłam zabrać tylko 20 kilogramów. Przygotowania pochłonęły mnie na tyle, że nie miałam czasu zastanawiać się, że po raz pierwszy spędzę święta Bożego Narodzenia bez rodziny i do tego na drugim końcu świata! – wyznaje.

Niekończące się wakacje

Wielu z młodych ludzi, którzy wyjeżdżają na zagraniczne stypendia, wybiera Europę lub Amerykę Północną, gdzie tradycja katolicka nie jest niczym nadzwyczajnym. W Azji katolików jest zdecydowanie mniej. Trudno też Polce wczuć się w atmosferę świąt, kiedy nie ma śniegu za oknem. Kalendarz pokazuje upływający czas, ale pogoda pozostaje niezmienna: upał, kwiaty, co krok palma, bananowiec i inne cudownie wielkie i wiecznie zielone drzewa. To wszystko razem sprawia wrażenie niekończących się wakacji, urokliwego lata.

Co prawda większe centra handlowe błyskają choinkowymi światełkami, grzmia świąteczną muzyką, można w nich dostać obłędnie drogie bombki i sztuczne drzewka, gdzieś na szybach pojawiają się piankowe gwiazdki, a pod niektórymi sklepami stają plastikowe bałwany całkowicie zaburzające tropikalny krajobraz. Ale nie można oprzeć się wrażeniu, że to wszystko to tylko komercyjny chwyt, żeby

Bałwany z p



było troszkę jak w amerykańskich filmach. Brakuje prawdziwego ducha świąt i nie chodzi o przedświąteczny zakupowy szal.

W buddyjskim kalendarzu

Anita bardzo długo ubiegała się o stypendium na wyjazd do Tajlandii – kraju, którego język studiowała. Taka możliwość pojawiła się w listopadzie. Nie wahała się wtedy ani chwili. Refleksja przyszła przed samą podróżą. – „Mamo, ale przecież nie będzie mnie na święta” powiedziała – wspomina jej mama. – Entuzjazm na chwilę ją opuścił. Mówiłam jej, że są telefony i internet – każda z nas miała już kupioną kamerkę internetową – że to nic strasznego, że wielu ludzi spędza święta poza domem. Patrząc wstecz, chyba sama nie wierzyłam w to, co mówię – dodaje. Tajlandia fascynowała Anitę od samego początku studiów.

Sztuczne symbole przypominają, że zakupowe szaleństwo czas zacząć

Wiek nie gra roli, każdy chce powitać Dzieciątko

Znała kulturę Tajów, wiedziała, co wypada, a co na pewno ich urazi. Jednak żaden (nawet najmądrzejszy) przewodnik turystyczny nie zawierał informacji, jak spędza się tam święta.

– Listopad minął tak szybko, że nim się zorientowałam, był już grudzień. W największych centrach handlowych pojawiły się imponującej wielkości choinki oraz plastikowe bałwany. W sumie tylko dzięki temu przypomniałam sobie o zbliżającym się Bożym Narodzeniu. Przecież dla Tajów to kolejne zwykłe dni w buddyjskim kalendarzu – mówi Anita.

Do żółbka w T-shirtcie

W Wigilię planowała wyjść do jakiejś restauracji, zjeść coś dobrego, kupić sobie prezent – uczcić ten czas sama. – Zupełnie niespodziewanie dostałam zaproszenie na „kolację wigilijną” oraz, jak później się okazało, „Pasterkę” – opowiada dziewczyna. – Przypuszczałam, że Tajowie mogą nie mieć w tradycji dwunastu potraw na wigilijnym stole, ale żeby nie było stołu, przy którym można usiąść, ani chociażby dachu nad głową? Spotkanie odbywało się na dworze, wśród palm i wszechobecnego upału. Wszyscy mieli na sobie najzwyklejsze, codzienne ubrania, na białej opierającym się o jakieś pieńki (przypuszczalnie miało to być stół) nie było nakrycia, a o uroczystej kolacji można było zapomnieć. Z okolicy schodzili się ludzie. Nikt nie słyszał o opłatkach i nikt nie składał sobie życzeń. Nie było prezentów, a za choinkę przebrane były drzewa obwieszane lamp-



plastiku

kami. Przed domem stał projektor i leciał film o narodzinach Jezusa. Można było zjeść zupełną ryżową oraz kuli z kurczaka i ryby. Wszystko podane na plastikowych talerzykach.

Taki zwykły dzień, gdyby nie ta szopka. W Polsce szopkę widuję się w kościołach, w domu jest symboliczne sianko pod obrusem. – W Tajlandii katolicy przygotowują żłóbek wystany siankiem, w którym układa się figurkę narodzonego Jezusa. Figurę przynosi ksiądz, który tego wieczoru odwiedza wszystkich oczekujących katolików. W spotkaniu biorą również udział siostry zakonne oraz chórek. Było to dla mnie coś niesamowitego – opowiada Anita. – Wydaje mi się, że po raz pierwszy uświadomiłam sobie, czym tak naprawdę jest Boże Narodzenie. Że to nie tylko prezenty i choinka, i nawet nie śnieg. Przecież Jezus urodził się w Betlejem, w warunkach bardzo podobnych do tych. Ksiądz błogosławi zgromadzonych, odmawia modlitwę, nie ma Komunii św., jedynie wszyscy obecni podchodzą do żłóbka i całują stopy Jezusa. Gdzieś w tle słychać koledy śpiewane po angielsku. Wizyta duchownego nie trwa długo, zabiera on Jezusa i niesie go do kolejnego żłóbka. Przecież i tam musi się „narodzić”.

Krzyże w technikolorze

Plac przez kościołem zastawiony był mnóstwem plastikowych krzeseł, obok stały stragany, gdzie można było kupić wodę, jedzenie, lody i jakieś drobnostki. – Wszędzie było słychać śmiech i rozmowy. „To pewnie jakiś festyn” pomyślałam – kontynuuje Anita. – Wszędzie rozwieszono były kolorowe światełka, oplatały nawet krzyż wiszący na kościele. Z głośników leciała muzyka. Mój znajomy mówił, że to coś na wzór koled, tylko po tajsku. Kościół był duży, bardzo ładny i gdyby nie fakt, że Msza św. była po tajsku, a w ławkach siedzieli praktycznie sami Tajowie, czułabym się jak w domu.

Nikt nie stał, każdy, kto nie zmieścił się w ławkach, zabierał krzesło z placu przed kościołem i siadał. Anita pamięta, jak zdziwiła się, widząc jak Tajowie witają się z Jezusem – wspomina Anita. W tajskiej kulturze szacunek wyraża się poprzez wai – jest to gest złożonych dłoni, jak do modlitwy i jednoczesnego ukłonu, ze wzrokiem skierowanym ku ziemi. Tajowie kłaniają się przed krzyżem oraz przed przyjęciem Komunii św. Po nabożeństwie wszyscy spotykają się na placu, jedzą lody, zupeł-

ryżową, rozmawiają, składają sobie życzenia, dzielą się emocjami. Jako jedyna blondynka Anita wzbudzała zainteresowanie. Podeszedł do niej ksiądz i zapytał, skąd jest. Odpowiedziała, że z Polski. Zdziwił się, bo większość przyjezdnych to Amerykanie lub Brytyjczycy, ale kojarzył Polskę, głównie dzięki Janowi Pawłowi II. – Dla mnie katolicyzm, niedzielne Msze św., Papież Polak to zupełna normalka. Czasem trochę żałuję, że nie potrafimy w Polsce tak przeżywać Bożego Narodzenia. Zamiast tego całego przedświątecznego szału, moglibyśmy przygotować taki żłóbek i oczekiwać Jezusa, bez zbędnego przepychu – duma Anita. W prezencie dostała księgę Nowego Testamentu... po tajsku.

Wesołego Hari Nata!

W Tajlandii bycie katolikiem nie jest niebezpieczne, nie ma prześladowań, zamachów, jednak nie cała Azja ma tak tolerancyjne podejście. – Pierwszy raz jestem w Indonezji – mówi Anita, studentka etnolingwistyki. – Dwa tygodnie temu przysłała do mnie Betty, indonezyjska protestantka, i radośnie oznajmiła, że zaczął się właśnie miesiąc Hari Nata! (Bożego Narodzenia). Chwilę mi zajęło, zanim dotarło do mnie, że po prostu zaczął się grudzień. Z drugiej strony świadomość, że w tym, jakby nie patrzeć, największym mużułmańskim kraju na świecie, zaledwie ułamek lud-

ności te święta obchodzi i tylko ułamek one interesują, jest dziwna. Podobnie jak dziwne jest uczucie podczas podejmowania decyzji, czy pójść na Pasterkę, czy nie. Ryzyko, że kościół wyleci w powietrze jest niewielkie, ale istnieje.

Jak wygląda kolacja wigilijna, jeszcze nie wie. Dostała kilka zaproszeń, w tym jedno do restauracji, żeby wymienić się drobnymi prezentami w gronie znajomych indonezyjskich katolików. – Na pewno będzie „jak w domu” u Marioli Pawłowskiej, polskiego konsula honorowego w Bandungu. Jej dom jest ostoją polskości. Takiej ciepłej, przytulnej i niewątpliwie wspierającej na obczyźnie, zatem przypuszczam, że podczas świąt także atmosfera będzie jak najbardziej bożonarodzeniowa, choć trochę – dodaje Anka.

Barszcz do zlew

– My, Polacy, mamy szczególnie sentyment do Bożego Narodzenia – mówi Mariola Pawłowska. – Jest „choinka”, tradycyjne dania, prezenty dla każdego i miejsce przy stole dla niezapowiedzianego gościa. Staram się, oczywiście, aby każde święta miały wyjątkową atmosferę, choć tak z głębi serca powiem, że nie jest to to, czego bym pragnęła. Dookoła bowiem gorączka, a zamiast biało, jest zielono – dodaje.

Pani Mariola od 32 lat spędza święta w Indonezji i nie ma roku by, nie tęskniła za krajem i za rodzinną atmosferą. Podczas pierwszego Bożego Narodzenia na obczyźnie przygotowała śledzika, którego nikt z jej indonezyjskich znajomych nie jadł, czerwony barszczyk z uszkami też nie zrobił furory, najbardziej „zjadliwe” były pierogi z grzybami i kapustą. – Szkoda było mojej pracy, załamalam się bardzo – wspomina M. Pawłowska. Od lat jest troszkę inaczej. Stara się wybierać dania, które będą wszystkim smakowały, niekoniecznie z wigilijnego menu. Śledzika zostawia dla swoich rodaków.

Oplątek poleconym

Celestyna, która od kilku lat mieszka i pracuje w Wietnamie, ma zupełnie inne podejście do świąt. – Jeśli tak naprawdę chcemy, żeby było po domowemu, organizujemy kolację ze znajomymi, gotujemy polskie potrawy, ale najczęściej idziemy do knajpki, gdzie dają dobrej jakości jedzenie – opowiada. – Symboliczne prezenty, oplątek przywieziony specjalnie z Polski, albo przysłany przez rodziców, i to jest całe Boże Narodzenie. W Azji jest inaczej, można doświadczyć bycia w mniejszości religijnej. Nie znamy tego w Polsce, gdzie kalendarz podporządkowany jest katolickiej tradycji.

– Zastanawiam się, czy kiedyś wrócę do Tajlandii akurat w czasie świąt... Jeśli tak, to na pewno zabiorę ze sobą kogoś bliskiego. Chciałabym jeszcze raz doświadczyć magii prawdziwego Bożego Narodzenia – przyznaje Anita. ■



To tylko chwyt reklamowy – wielu Tajów nigdy w życiu nie widziało śniegu

Akcja Szlachetna Paczka w Słupsku

Radość z pieluch

Tuż przed świętami Bank Żywności zebrał dla potrzebujących prawie dwie tony żywności, tutejsza Caritas przygotowała dla nich wigilię, a kilkadziesiąt rodzin dostało dary.

Wojewódzki Zespół Szkół w Słupsku. Na drzwiach wisi mały plakat informujący o akcji Szlachetna Paczka. W szkole jest sztab wolontariuszy, którzy zajmują się Paczką w mieście. – Zostały jeszcze tylko dwie rodziny, które potrzebują pomocy – cieszy się Magdalena Majkowska, słupska koordynatorka akcji, która na co dzień współpracuje z młodzieżą ze szkolnego klubu wolontariatu. Dary dostały 24 rodziny z powiatu słupskiego.

Szlachetna Paczka to inicjatywa, którą przed dziesięcioma laty zainicjowało krakowskie stowarzyszenie Wiosna. Z lokalnego wydarzenia urosła do rangi ogólnopolskiej akcji cieszącej się ogromnym zainteresowaniem darczyńców. – Zbieramy grupę wolontariuszy, którzy docierają do rodzin, gdzie panuje ciężka sytuacja, jest niepełnosprawność, samotność – mówi koordynatorka.

W domu pani Reginy

Wśród tych, którzy w tym roku oczekiwali na pomoc darczyńców, znalazła się rodzina Reginy Tylickiej ze Słupska. Z mężem wychowuje dwóch synów – 19-latkę z orzecznym stopniem niepełnosprawności i 17-latkę potrzebującego nieustannej opieki. Pani Regina nie pracuje, cały swój czas poświęca młodszemu dziecku. Dostaje za to 153 zł zasiłku pielęgnacyjnego. Jej mąż jest bezrobotny, do lutego na zasiłku. No i starszy syn dostaje nieco ponad 100 zł za praktyki zawodowe. – To wszystko to zdecydowanie za mało, by żyć – mówi z żalem pani Regina. Ich mieszkanie, dwa



■ Nie wszystkie zostały tak ładnie ozdobione, ale każda była szczerze dana



■ Wolontariusze znoszą do magazynu paczki od darczyńców

małe pokoiki z ciasną kuchnią, w której mieści się jeszcze brodzik, jest zadłużone. Rodziny nie stać na opłacenie ogrzewania gazowego. Ciągle brakuje pieluch dla młodszego syna. A fundusz zdrowia refunduje tylko dwie sztuki dziennie...

Losem państwa Tylickich zainteresowała się Magdalena Majkowska, która zajmuje się rehabilitacją niepełnosprawnego Kamila. To ona skierowała tu wolontariuszy, którzy przeprowadzili ankietę i umieścili rodzinę Tylickich na stronie akcji. Dzięki temu już po raz drugi rodzina pani Reginy może godnie przeżyć święta Bożego Narodzenia.

– Gdyby nie ta pomoc, to nie wiem, jak byśmy żyli – przyznaje gospodarz domu, kiedy rozpakowuje kolejne paczki. Najbardziej cięższą go nie te z ubraniami, lecz te, w których znalazły się olej, mąka, cukier...

– Ale ta jest najpiękniejsza! – pani Regina ze łzami w oczach wskazuje na karton z kilkoma opakowaniami pieluch i chusteczek do pielęgnacji leżącego syna. Dzięki temu przez pewien czas ich życie będzie dużo łatwiejsze.

Wytrwali do końca

Choć Szlachetna Paczka istnieje nie po to, aby wspierać osoby

potrzebujące, nie byłoby jej, gdyby nie wolontariusze. W tym roku do pomocy w Słupsku zgłosiło się 20 chętnych, ale tylko 12 z nich wytrzymało do końca akcji. Każdy z nich musiał przejść wielogodzinny kurs, zaliczyć dość trudny e-learning, a także spędzić wiele godzin na spotkaniach z potrzebującymi rodzinami. To przede wszystkim wolontariusze odpowiadają za to, która rodzina otrzyma wsparcie i co znajdzie się w przeznaczony dla niej „szlachetnej paczce”.

Akcji nie byłoby też bez darczyńców. Jednym z nich jest Weronika Łaboda z Kępic, która postanowiła wesprzeć znajomą rodzinę – samotną matkę wychowującą jedenaścioro dzieci i dwoje wnucząt. – Gdy tylko dowiedziałam się o Szlachetnej Paczce, pomyślałam, że właśnie im warto by pomóc. Ich dochody to pieniądze z opieki społecznej plus alimenty. To łącznie 2,5 tys. zł na 14 osób – mówi Weronika, która bardzo mocno zaangażowała się w akcję.

Opłatek zamiast pokwitowania

Sobotnie popołudnie. Magazyn Szlachetnej Paczki wypełnia się kolejnymi podarunkami. Jeden z darczyńców przyniósł kartonowe pudło z żywnością i środkami czystości. To dla rodziny z czwórką dzieci. – Potrzebny tych, których obdarowaliśmy, są prozaiczne. Myślę, że każdego z nas stać na to, żeby wspomóc potrzebujących – mówi mężczyzna. Tak jak każdy inny darczyńca wychodzi obdarowany świątecznym opłatkiem.

Szlachetna Paczka nie jest jedynie przedświąteczną akcją. Wsparcie potrzebujących rodzin może trwać długo. – Każdy ofiarodawca może spotkać się z rodziną, którą wybrał podczas rejestracji przez internet. Może dzięki temu zobaczyć, jakie są ich rzeczywiste potrzeby, i pomagać tak długo, aż rodzina stanie na nogi – tłumaczy Magdalena Majkowska.

Mateusz Sienkiewicz

Akcja charytatywna słupskich studentów

Nakręcają na pomaganie

Słupscy zacy przyłączyli się do **akcji pomocy Piotrusiowi – maluchowi z rozległym naczylnikiem**. Do współpracy zaprosili wszystkie słupskie parafie.

Jest to akcja niewymagająca jakiegokolwiek wkładu pieniężnego ani specjalnej pracy. Przed świętami w naszych domach pewnie będzie mnóstwo zakręcanych butelek z napojami. Chodzi o to, aby nakrętki wrzucić do woreczka i odnieść je potem do kościoła – tłumaczą

czy Marek Sadowski z samorządu studenckiego. – Nakrętki skupuje firma recyklingowa.

Studenci postanowili zorganizować zbiórke nakrętek, bo kwesta może dać mniejszy efekt. – Społeczeństwo jest biedniejsze, co widać po studentach. A po drugie z pieniędzy są kłopoty: trzeba je policzyć, rozliczyć, znaleźć bank, który przyjmie drobniaki, odliczyć prowizję. Nakrętki sprawiają mniej problemów – mówi Sadowski.

Historię Piotrusia Krajniewskiego opowiadaliśmy Państwu w jednym z poprzednich numerów. W pomoc chłopcu, który potrzebuje specjalistycznego i kosztownego leczenia w niemieckiej klinice,

zaangażowali się uczniowie, koszykarze i prywatni sponsorzy. Licealistka z Ustki zorganizowała nawet koncert charytatywny, którego gwiazdą był zespół Golden Life.

Teraz do działania przystąpili studenci. – W każdym pokoju wisi

woreczek. Wspiera nas rektor i sam też odkręca – opowiada z uśmiechem Karolina Witkowska. Swoich kolegów nie muszą przekonywać o tym, że warto pomagać, ale chcieliby jeszcze pozytywnie zakręcić na pomaganiu słupszczyzan. Dlatego do akcji, organizowanej razem ze słupskim duszpasterstwem akademickim, działającym przy parafii pw. św. Jana Kantego, zaprosili wszystkie słupskie parafie. – Nie będziemy ograniczać akcji tylko do duszpasterstwa akademickiego, ale chcemy, żeby w każdym kościele stanął kosz

na nakrętki, dlatego poprosiliśmy księży proboszczów o rozreklamowanie pomysłu – mówi ks. Tomasz Roda, duszpasterz akademicki ze Słupska.

pod patronatem „Gościa”

Nie jest to pierwsza akcja charytatywna studentów. – W ubiegłym roku zbieraliśmy pieniądze dla chorej dziewczyny ze Słupska. Staramy się, żeby każda akcja miała charakter lokalny, żebyśmy pomagali komuś konkretnemu, sąsiadowi – wyjaśnia Marek Sadowski. – Liczymy na to, że słupszczyzanie dosłownie zasypią nas nakrętkami.

Nakrętki będą zbierane w parafiach od 14 do 16 stycznia. Już teraz można je przynosić do duszpasterstwa akademickiego przy parafii św. Jana Kantego oraz do samorządu studenckiego. Patronat nad studencką akcją objął koszalińsko-kołobrzeski GN.

Karolina Pawłowska



Ks. Tomasz Roda i Marek Sadowski przekonują, że niewielkim wysiłkiem można sporo zdziałać

REKLAMA

NOVUM travel
89-410 Włoczek, ul. Pocztowa 25
tel./fax 52 389 98 90, tel. 52 524 00 02
tel. kom. 502 688 980

Pielgrzymki - cała Europa
oraz Bliski Wschód i Meksyk

- Ziemia Święta: 2-8.03
- Rzym, S.G. Rotondo: 21-27.03
- Lwów i Kresy: 29.04-3.05
- Sanktuaria Europy: 9-18.05
- Katyń - Moskwa: 10-15.05
- Paryż: 16-25.05

Wynajem luksusowych autokarów

- Włochy: 12-20.06, 29.06-9.07
- Fatima - Lourdes: 27.06-11.07
- Włochy - Hiszpania: 12-23.07
- Grecja: 25.07-5.08

- Grecja: 27.07-4.08, 15-26.09
- Sanktuaria Francji: 25.07-4.08
- Meksyk: 15-28.11

Zrealizujemy każde życzenie w zakresie dowolnych programów oraz świadczeń. ZAPEWNIAMY ATRAKCYJNE WARUNKI WSPÓŁPRACY

Zapraszamy grupy zorganizowane z parafii i osoby indywidualne. Gwarantujemy profesjonalizm, fachową i pewną obsługę oraz niezapomniane wrażenia!

Światowe Dni Młodzieży - Madryt; różne wersje programów

e-mail: novumtravel@op.pl, www.novumtravel.pl



Do lutego w Muzeum Ziemi Karlińskiej można oglądać fotografie, które dokumentują wielki wybuch



Karolino na krótko stało się nadzieją PRL-u na bycie potentatem naftowym

30. rocznica największej erupcji w Europie

Czarne złoto siało kwiaty

Trzy dekady temu można było nie wiedzieć, gdzie leży Koszalin, ale o Karlinie słyszeli wszyscy. Za sprawą ropy i nadziei na „drugi Kuwejt” nazwa miasteczka była odmieniana w całej Polsce przez wszystkie przypadki.



Ryszard Winiarski i Ryszard Jasiurski byli jako jedni z pierwszych na miejscu wybuchu

Zaczęło się efektownie. Od wielkiego wybuchu 9 grudnia 1980 r. Płomień wznosił się na wysokość 130 metrów, rozświetlając okolicę w promieniu kilkunastu kilometrów.

Matka Boska do pożaru

Karolino odwiedzili i I sekretarz KC PZPR, i przewodniczący Lech Wałęsa. Z pożarem i erupcją przez miesiąc walczyło półtora tysiąca ratowników. Media skrupulatnie relacjonowały akcję. Potem odnotowały pierwszy transport ropy do rafinerii w Trzebinii i... cisza. – To była jedna z najważniejszych prac reporterskich w mojej karierze. Uzbierało się kilka godzin nagrań, które ukazywały się codziennie w Polskim Radiu – wspomina Zenon Szuszycki, wówczas dziennikarz Radia Koszalin, który jako pierwszy puścił w świat informację o wybuchu ropy pod Karlinem. – Nasi słuchacze wykazywali ogromne zainteresowanie. Otrzymywaliśmy dziesiątki listów,

jak gasić. Niektórzy nawet przyjeżdżali i radzili.

Pojawiały się różne pomysły, jak poskromić płomień: od nakrycia wielkim dzwonem, po chodzenie wokół szybu z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Przed ugaszeniem ognia trzeba było usunąć uszkodzoną głowicę przeciwybuchową, czyli słynny prewenter. W jego kierunku posłano ponad 200 pocisków artyleryjskich. W wyniku ostrzału ucierpiał jeden z żołnierzy oraz... telewizor w prywatnym mieszkaniu.

Znów będzie tryskać

W Karlinie nigdy szyby naftowe nie powstały, ale burmistrz miasta Waldemar Miśko wpadł na pomysł uczynienia z historycznej ropy turystycznej atrakcji. Chce na 10 hektarach zbudować interaktywne mu-

zeum. Na potrzeby marketingowe pomysł otrzymał wdzięczną robotniczą nazwę: „muzeum wytrysku”. Nazwa jest żartem, ale samo muzeum ma być jak najbardziej poważne. Oprócz ścieżek dydaktycznych z eksponatami wień wiertniczych i innych urządzeń, będą również sale wystawowe prezentujące procesy powstawania złóż ropy naftowej. Jedną z planowanych atrakcji będzie strzelający na 20 metrów w górę płomień. – Chcemy to wydarzenie nie tylko przypominać, ale stworzyć też nowy produkt turystyczny, który przyciągnie do miasta nawet kilkaset tysięcy turystów rocznie – wyjaśnia burmistrz.

Na razie w Karlinie jest skromna, ale ciekawa wystawa poświęcona erupcji z 1980 r. Można na niej do końca lutego zobaczyć ropę z pierwszego wiadra wydobytego z szybu Daszewo 1 oraz archiwalne zdjęcia, także te wcześniej nie publikowane, przekazane miastu przez pragnącego zachować anonimowość darczyńcę. Prezentację ekspozycji poprzedziła projekcja archiwalnego filmu „Erupcja nadziei” i odnalezione w archiwach Radia Koszalin „Tango Karolino”.

Wiosna w środku zimy

Swoimi wspomnieniami podzielił się też uczestnicy wydarzeń. – Jeździłymi drogą wzdłuż Radwi, bo jezdnia była dosłownie spalona i mogliśmy podziwiać, jak wierzby nad rzeką zazieleniły się w środku zimy, a na brzegu wyrastały kwiaty – opowiada Mieczysław Chromiak, członek karlińskiej OSP, który kierował pierwszym wozem strażackim, jaki dotarł na teren wybuchu.

Zakwitły też drzewa owocowe w leżącym tuż obok szybu zniszczonym gospodarstwie państwa Ziółkowskich.

Bywały momenty z perspektywy czasu dość zabawne. Jak historia ratownika, który postanowił nalać do słoika trochę ropy z wytrysku, rozgrzewającej się przy pożarze pielęgniarki, która straciła futro z nutrii, czy kierowcy ciężarówki z węglem, który chciał odmrozić ładunek. – Dosypał nam z 18 ton węgla, jakby u nas nie miało się co palić – śmieje się Ryszard Jasiurski, jeden ze strażaków, który przez cały czas trwania akcji był przy karlińskim szybie. – Albo czołgista, który wyrwał się pierwszy, zanim jeszcze strażacy dotarli na swoje stanowiska po przerwie, i ugrzązł w błocie. Prawie się spalił w tym czołgu – dodaje Ryszard Winiarski, wówczas zastępca szefa sztabu sił pożarniczych województwa koszalińskiego.

8 stycznia strażacy zgasili płomień. Przez przypadek. – Byłem akurat w baraku z Adamem Kilarzem, który kierował akcją gaśniczą. I nagle krzyk: „Ugasili!”. Strażacy się cieszą, machają hełmami... a w sztabie zamarli ze zgrozy. Jak będzie duża chmura gazu, jak to walnie, to my wszyscy w lesie się znajdziemy – opowiada dziennikarz. Całe zamieszanie Zenon Szuszycki puścił bezpośrednio na antenę. Ostatecznie ogień ugasili 10 stycznia polscy strażacy i przysłani przez władze Związku Radzieckiego specjaliści z Połtawy. Dwa lata później z Karlina odjechała ostatnia cysterna z ropą.

Karolina Pawłowska